1843. Nr. 22. Rok 2.

# PRZEGLĄD NAUKOWY



## ZAPAŁ.

Moje marzenia — to szczyty Tatrów;
A moje myśli — to Wisły fala,
Kiedy szalona krami przewala;
A me uczucia, to poświst wiatrów.
Nie pragnę złotych piasku wybrzeży,
Ni spokojnego zacisza w murach,
Bo ma istota zrodzona w chmurach,
A moje czoło w piorunach leży. —
Patrzę na ziemię jak na skład prochu,

Na który piorun mój chciałbym zwalić,
Rozżarzyć iskrę, pożar zapalić —
I sztandar szczęścia zatknąć w popłochu.
Jak szara Wisła, kiedy w wściekłosci
Szydzi z brzegowisk, obala domy, —
Ja-bym ciskając gromy na gromy
Szydził, zabijał, nie miał litości.
A gdyby w moim niszczącym uścisku
Gwiazda radości nie chciała zabłyszczéć,
Wolałbym wszystko pokruszyć i zniszczyć,
A sam ostatni skonać na zwalisku;
Bo me marzenia to szczyty Tatrów,
A moje myśli — to Wisły fale,
Kiedy szalona krami przewala,
A me uczucia — to poświst wiatrów.

WŁODZIMIERZ WOLSKI.

# OBRAZ PORÓWNAWCZY

## PAUPERYZMU.

W narodach, które zdają się przewodniczyć oświacie powszechnéj, w których wszystko świetne i połyskujące na saméj powierzchni, przedstawia się odcień okropny skoro się w ich wewnętrznych stosunkach gruntownie przyglądać zechcemy. Chcemy mówić o pauperyzmie, czyli ubóstwie, które w straszliwéj swojéj rzeczywistości przechodzi wszystko, cokolwiek rozbujała wyobraźnia w najbardziéj fantastycznych kształtach wymyślić może. Chcesz szukać najwyższéj nędzy, głodu bez nadziei zaspokojenia całych familii i pokoleń, dla których prawie nawet miejsca nié ma ziemi, jakoby, dla nich nie stworzonéj, które ubóstwo gromadnie wtłacza w ciasne zakąty do mieszkań ludzkich niepodobne, gdzie nawet skąpo wydzielone im bywa światło i powietrze, dla wszystkich przecie od natury dane, zkąd nawet często wyjrzyć nie mogą, jakby z więzienia, dla braku odzieży; — gdzie ciągłéj zażywają trucizny w durzącéj i chorobliwéj atmosferze, która ich otacza w skąpych a niezdrowych pokarmach.— Idź do krajów, gdzie najwyżéj wygórowały oświata, przemysł, rękodzieła, wynalazki zdające się rokować całemu rodowi ludzkiemu powszechny dostatek. Tam znajdziesz nie pojedyncze przykłady, wyjątkowe,

ale massy niezliczone, pokolenia — prawie oddzielny naród proletariuszów, wyrzucony z reszty towarzystwa użytkującego, i więcéj lub mniéj dostatniego, a w najwyższéj swojéj kończynie rozwijającego nieraz przepych, rażący i skandaliczny dla przyjaciela cierpiącéj ludzkości, który się obu stronom tego społeczeństwa przygląda. Konie kursowe, psy i inne zwierzęta, najtroskliwiéj bywają pielęgnowane, a człowiek — proletariusz, wolną męczarnią zabijany bywa zarazem na ciele i na umyśle — męczarnią każdéj chwili, która mu nie pofolguje od kolebki aż do grobu, a która nazywa się *nędzą*. Siły jego wprzód jeszcze, nimby się rozwinąć mogły, stargane bywają w samém dzieciństwie *); widzisz ród cały na którego obliczu wszystkie jego cierpienia wyczytasz; dostrzeżesz na tych twarzach zmarszczki rozpaczy, lub martwą rezygnacię a pogodnego wejrzenia nigdy — nawet w tych chwilach, które wypoczynkowi oddane — w których usiłują o wszystkiem zapomnieć a oddać się rozrywce, — bo niedola ściga ich nawet przez sen. Wiesz ty czytelniku, co to jest rozpacz głodu? Wiesz co za moralne męczarnie przed sobą niesie, nim jeszcze fizyczną prywacią człowieka dotknie? Zawieszona jest ciągle nad głową proletariusza, tak, jak miecz Damoklesa, i zawsze przed nim stawa jako straszące widmo, które krew w jego żyłach ścina i wszystkie uczucia wyziębia i głuszy.

---

*) Wiadomo że dzieci po fabrykach we Francyi i Anglii, tak wcześnie użyte bywają do pracy trudzącéj, że to siły ich zupełnie niszczy i nadaje im wzrost chorobliwy. Musi się to objawić silnie, kiedy to bywa przedmiotem narad ich prawodawczych, poprzestających wprawdzie na prostym zakazie symptomatu, który się objawiać nie poprzestanie, dopóki z gruntu nie zostanie wyleczone towarzystwo ze strasznéj choroby, jaką jest nędza.

Postęp przemysłu, wynalazków, machin, w których siły przyrodzenia owładnięte przez człowieka dokonywają tego, do czegoby tysiąca rąk potrzeba, powinienby wzmagać powszechny dostatek całego rodu ludzkiego. Tymczasem widzimy zupełnie odwrotny stosunek w rzeczywistości: nędza pracowników rośnie szalenie w miarę odkryć oszczędzających pracy ręcznéj — odkryć, które jak mówiliśmy, powinnyby wszystkim ułatwiać zaspokojenie potrzeb i wygód życia (co właściwie znaczy wzbogacać) a nikogo nieubożyć. Fakta widoczne zdają się zadawać fałsz rozumowaniu; machiny pojedynczych ludzi — przedsiębierców — wynalazców i t. p. wzbogacają do wysokiego stopnia; massom konsumentów dostarczają mniejszym kosztem potrzebnych przedmiotów, a zatém wzbogacają ich także — lecz obok tego mnóstwo ludzi zostawiają b e z p r a c y, czyli wtrącają w proletaryzm najokropniejszy: w nędzę, — i wypiérają gwałtownie z rzędu społeczeństwa, które odtąd nié ma już dla nich chleba i przytułku na ziemi. W stosunku wzrostu panowania człowieka nad przyrodą, wzmaga się n ę d z a, i do olbrzymich wzrasta rozmiarów, i trawi wnętrze tych społeczności, zwierzchu połyskających czczemi znamionami p o s t ę p u, — a mówię czczemi, bo powierzchownémi — jakby na ironię gorzką massy nędzarzy.— Ten cios, który ich dotyka, jedném słowem da się wyrazić: b r a k r o b o t y, a ztąd brak chleba i wszelkich potrzeb do życia, i to jest cecha i przyczyna ubóstwa oświeconych, przemysłowych i kupczących krajów. — Około tego punktu głównego koncentrują się wszelkie badania pauperyzmu tamecznego, który tak posępny i rozdzierający obraz przedstawia, choć go nie widzi i ani się o nim domyśla lekki podróżnik, który obejrzy tylko gmachy, obrazy, posągi, teatry, zabawy, — jedném słowem, te wyłącznie miejsca, gdzie spotkać się może z samemi dostatniemi i atmosferę sztuczną dokoła niego rozciągającémi, po-za którą nie potrafi przejrzyć.

U nas ubóstwa podobnego, ani w jego przyczynach ani w formie nie dojrzymy; — u nas pracownik wiejski może być uważany za proletariusza, ale nigdy nie dosłyszał tych słów: nié ma dla ciebie roboty, umieraj więc sobie z głodu; — u nas zawistnego uczucia ani przekleństwa żadna machina nie sprowadza, bo nikogo nie pozbawia sposobów zarobku, których nieprzebrana przedstawia się ilość, a zatém jest dla wszystkich dobrodziejstwem, a dla nikogo klęską. — Widzimy więc różne powody i kształty ubóstwa, stanowiącego, jakoby dwa oddzielne zupełnie gatunki, nic wspólnego nie mające, a tych usiłować będziemy skreślić obraz porównawczy.

Ubóstwo zagraniczne ma za jedyną przyczynę brak roboty, którego następstwem przy liczném jéj ofiarowaniu jest tak niska zapłata, że nigdy zaspokojeniu potrzeb człowieka wystarczyć nie może, i całym rodzinom przedstawia środek tylko wleczenia cokolwiek daléj swojéj egzystencyi, na pół tylko ich nakarmiając, jakby dla wprowadzenia stopniowo w śmierć głodną. Gałąź jaka przemysłu lub rękodzieł kwitnąca, przeciąga wielką liczbę robotników, których praca sowicie wynagrodzoną bywa; panuje wśród nich dostatek — proletarijusz zadowolony nie patrzy na cierpienia swojéj żony i dzieci, lecz jakże prędko mijają niestety podobne chwile!!... Zmienia się naraz jeden jaka moda, czyli po prostu mówiąc, kaprys możniejszych; zjawia się nowy jaki tańszy proceder produkcii, a massa robotników, dopiéro co pożądanych, zostaje bez zatrudnienia i sposobu do życia. Nie trzeba sobie wyobrażać, żeby tak łatwo być miało od jednego rodzaju pracy do drugiego przechodzić w krajach fabrycznych, bo tam najmniejszy szczegół wymaga specijalnego usposobienia i wyłącznego nawyknienia, a nadto każdy rodzaj przemysłu i rę-

kodzieł tak jest obsadzony ludźmi tegoż właśnie rzemiosła, że świeży dostać się tam nie może. Podobne zmiany i fluktuacije przemysłu są wypadkiem bardzo częstym, codziennie widzieć się dającym, i stanowią plagę okropną na osobny naród wyrobników, — każdy jest na nią narażony i swojego jutra pewnym być nie może. Proletarijusz patrzy z uczuciem zawistném na te machiny siłą pary poruszane, które mają mu odjąć zatrudnienie, — a możeż być inaczéj, kiedy tu o życie jego chodzi?

Zdają się tu stawać w obec siebie dwie myśli sprzeczne i pogodzić (na pozór) się nie mogące, w téj ważnéj kwestii postępu i rozprzestrzenienia machin: z jednéj strony interes obrażonéj ludzkości przez pogrążenie w nędzy pracowników -- z drugiéj interes powszechny przemysłu i panowania człowieka nad ziemią, przez coraz doskonalsze owładnięcie materii. Czemuż niestety ich postęp nie idzie na korzyść całego rodu ludzkiego? lecz każdy krok swój naznacza okropnym uciskiem i pogrążeniem w nędzy ostatnich klass społeczeństwa w tych zagranicznych krajach, zwierzchu połyskujących industryjnym blaskiem — zdających się przedstawiać samo piękne i dobre — i tym zwodniczym płaszczykiem wstydliwe rany pokrywającym? Oświadczamy zawczasu, że w tym krótkiem i dorywczém pisemku nie zakładamy sobie, nie możemy nawet miéć zamiaru, z gruntu dojść pierwotnych przyczyn takich smutnych wypadków, ile że dla nas nie przedstawiają żywotnego interesu, bo odmienne zupełnie położenie materijalne, nam właściwego przemysłu, nie dopuszcza obawy podobnego stanu. Przestajemy zatém na ogólném ich przedstawieniu i rzuceniu kilku myśli. Zobaczmy naprzód jak się o tém wyraża cała dotychczasowa szkoła ekonomistów.— Wiadomo, że twórcą przeszło-wiecznéj szkoły ekonomistów, która późniéj ani jednego ważnego kroku naprzód nie postawiła, nie objaśniła się filozoficznym rozbiorem, któryby istotnie rozprzestrzenił jéj pojęcia, jest Adam Smith. Zasady jego

rozwinęli i rozprzestrzenili J. B. Say Ricardo, Malthus, Sismondi. Można wyrzec, że na nich stanęła nauka, bo wszystko późniejsze składa się tylko z ich kompilacii lub kommentarzów, albo wreszcie mało znaczących rozwinięć.

Twierdzą oni: że praca rozdziela się sama przez się naturalnie i w sposób normalny w społeczeństwie ludzkiem, stosownie do jego potrzeb, i że najlepszym na nią regulatorem jest żądanie i stosowna do niego płaca, czyli wynagrodzenie (salaire), które się wyrabia w sposób normalny przez prosty stosunek ilości żądanéj i ofiarowanéj pracy. Jeżli bowiem większa jest potrzeba, a tém samém żądanie pewnego rodzaju roboty, niż znaleść się może robotników do niéj zdolnych i ofiarujących swoje usługi, praca ich idzie w górę czyli staje się droższą, a ztąd wynika zachęta dla innych rzucenia się do korzystnéj gałęzi, co dopóty może tylko miéć miejsce, dopóki w skutek liczniejszego ofiarowania pracy, cena jéj o tyle nie spadnie, że przestanie być ponętną dla innych. Jeżeli przeciwnie, w innym zawodzie przemysłowym więcéj jest robotników niż potrzeba, zapłata czyli wynagrodzenie spada, i zmusza ich interesem własnym do poświęcenia się innemu, korzystniejszemu zarobkowi. Takim więc sposobem następuje naturalna równowaga pomiędzy wszystkiemi rodzajami pracy, i doskonały jéj rozdział stosownie do potrzeb spółeczeństwa, bo do żadnego ani za dużo ani za mało nie będzie skierowaną, ale zawsze tyle ich potrzeba, ponieważ stosunek wzajemny ofiarowania i żądania, a ztąd wynikająca względna wysokość płacy czyli wynagrodzenia (salaire), służy niejako za regulatora mającego wszystko utrzymywać w należytym porządku.

Teorija ta ekonomistów nie jest wcale pozbawiona pewnéj trafności — chociaż nawet fluktuacija, która ztąd wynika, i zmiana zatrudnień do któréj większa liczba robotników widzieć się może zmuszoną, niejako perjodycznie w miarę postępu, przemysłu i zmiany żądań konsumentów, jest niewątpli-

wą klęską dla klassy pracującéj, można ją uważać za przemijającą, a całą powyższą teoriję za dobrą i słuszną, dopóki w całym kraju powszechne żądanie pracy nie jest mniejsze od jéj ofiarowania, to jest: dopóki w ogólności niéma braku roboty, a pracownik może zawsze ją znaleść, nie w tym to w owym zawodzie. Lecz jeżeli przeciwnie wydoskonalenie środków produkcii, przez zastąpienie rąk ludzkich siłami przyrodzenia na korzyść tylko możniejszych idące, zmniejszy do tego stopnia potrzebę i żądanie pracy, że wyrobnik na wszystkie strony, gdzie się tylko uda, posłyszy słowa b r a k r o b o t y, że cena jéj do tego stopnia się zniży, iż w najpomyślniejszym wypadku, jeżeli potrafi znaleść jakie utrzymanie, to nędzne i jutra mu niezapewniające, że znaczna część z niemożności zatrudnienia się, musi być pozbawioną wszelkich środków do życia; — cóż wtenczas?... Takie zaś położenie przestało być hipotezą i przypuszczeniem w krajach, gdzie produkcija i wynalazki wygórowały na korzyść wyłączną samych możnych fabrykantów, kupców i przedsiebierców, — ale dzisiaj jest już rzeczywistością coraz większe przybierającą rozmiary; a postęp przemysłu naznacza się jednocześnie wznoszeniem majątków pojedynczych ludzi i coraz większym pogrążeniem w ubóstwo proletarijuszów. Cóż o tém ekonomiści? Tego stanu, o którym mówimy, nie wzięli pod uwagę wyłączną, a tym stanem jest p o w s z e c h n y b r a k r o b o t y na wyrobnikach ciążący, zmuszający ich za najnędzniejsze utrzymanie pracę swoję oddawać, szczęśliwi jeszcze, kiedy i to osiągnąć mogą. Gdyby cała spółeczność nie posiadała już środków utrzymania ich, byłby to nadnaturalny i anormalny wzrost i rozplemienienie rodzaju ludzkiego, któremuby istotnie zaradzić nie można było, lecz ten wypadek nié ma miejsca, bo krajowe bogactwo wystarczyłoby i dla nich, gdyby do udziału jego przypuszczeni byli przez przyjęcie ich usług w zamian za potrzeby do życia, — gdyby im otworzono sposo-

bność do pracy, któréj są pozbawieni a tém samém wyzuci ze wszelkich dobrodziejstw społeczeństwa, i darów, które przyrodzenie zlało hojnie na cały ród człowieka. Posłuchajmy jeszcze ekonomistów, którzy wszelkie wynalazki, machiny i t. p. pochwalają bezwzględnie, i nie w tém popełniają błąd, bo niedorzecznością byłoby chcieć cofać lub wstrzymywać postęp przemysłu, i trudniejszemi środkami zdobywać na materyi w bogactwo ją zamieniając to, co pomyślawszy, łatwiejszemi dokazać można; — ale w tém właśnie, że największą okazują obojętność, czyli taki postęp dojdzie, lub nie, na korzyść powszechną całego społeczeństwa, czyli w ostatniéj klassie nie naznaczy sobie licznych ofiar, nakształt krwawego holokaustu pogańskich obrzędów, które przynajmniéj poświęconym na mniemaną cześć bałwochwalczego bóstwa od razu śmierć zadawały, nie przewodząc ich przez długie, kilkoletnie męczarnie i zabójstwo stopniowe i powolne. W rozwinięciu zaś zdrowych zasad wzniosłéj myśli chrześcijaństwa, nie można się godzić na pozbawienie kogokolwiek środków do życia, i obarczenia go ciężarem nędzy, któréj najszczerszą pracą usunąć nie zdoła. Nie o to zatém iść powinnoby, ażeby wstrzymać postęp przemysłu i wynalazków, leczby taki nadać mu kierunek, iżby szedł na korzyść powszechną rodu ludzkiego — a zdaje się, że kiedy w skutek tegoż postępu massa bogactw się powiększy, łatwiéj być powinno tak urządzić ich rozdawnictwo, ażeby w sposób negatywny wytknąć tak rażącą niesprawiedliwość, jakiéj doznaje człowiek chcący pracować, i dla braku zatrudnienia pozbawiony środków do życia; do ekonomistów zaś należy właściwie rozwinąć w sposób stanowczy i organiczny zasady przemysłu i pracy, zgodnie z interesem ludzkości. Temu zadaniu nie uczynili zadość.

Jeden tylko szlachetny Sismondi poczuł w swojem sercu litość dla cierpiącéj ludzkości, i różniąc się z zasadami nauki, wolał widzieć mniéj machin i wynalazków, i ograniczać dziel-

ność człowieka, byle nie szła za niemi nędza w ostatnich warstwach społeczeństwa. Lecz ta myśl natchnięta pięknym wprawdzie uczuciem, nie da się usprawiedliwić ze strony naukowéj, bo przemysłu nie godzi się wstecz cofać ani wstrymywać; trzeba zaś w taki sposób go skierować, aby dzielności jego nie hamując, nie dać mu szkodzić nikomu, zadanie które bardzo wiele pięknych, ale mniéj naukowych i poniekąd utopijnych wywołało późniéj pomysłów, i dotąd w sposób zupełnie praktyczny rozwiązaném nie zostało. Inni zaś ekonomiści wszelkie względy dla biédnych odrzucali, a najdaléj zaszedł w téj mierze Mathus, który aż do tego dochodzi mówiąc o ludzkości, że nędzarzy nie powinno społeczeństwo wspierać, ażeby do próżniactwa nie dawać zachęty, że o tyle tylko ludzie utrzymywać się powinni, o ile sami mogą posiadać do tego środki, które zatém uważa za regulator słuszny do uchronienia społeczeństwa od zbytecznego rozplemienienia. Wszakże to nielitościwy wyrok na proletarijuszów, których wynalazki i wydoskonalenia na wyłączną korzyść pojedynczych ludzi obracane, stanowią w niemożności zarobienia i utrzymania się!!...

Ważmy teraz stanowisko takiego zagranicznego proletarijusza do społeczeństwa. Od chwili, kiedy pozbawiony zostaje możności zarabiania, lub kiedy praca jego zniżona w swojéj wartości nie daje mu dostatecznych środków do życia, — od téj mówię chwili, jest wypartym ze społeczeństwa i wszelkich jego dobrodziejstw pozbawionym. Czyliż on czuć nie będzie we wnętrzu swojego serca, że ma przecież prawo do niego należéć? Zaiste, człowiek nie może domagać się o żadne od innych posługi, o udział powszechnego bogactwa, jeżeli sam nie pracuje; lecz jeżeli droga do pracy jest przed nim zagrodzona?......

Proletarijusz, który tym sposobem od spółeczeństwa jest wyrzucony, jak gdyby do niego nie należał, co się tyczy wszelkich korzyści towarzyskiego życia, jest jeszcze przez niego ścigany obowiązkami, sam wzajemnie nie doznając żadnych dobrodziejstw. Nie dosyć, że mu utrudzili sposobność zarobienia chleba, musi jeszcze jako ostatni konsument przy każdym kawałku, który kupi, płacić ogromny podatek cła zbożowego, sklepowego od piekarza i t. p., co wszystko się w jego wyższéj cenie mieści.. Podobnymże sposobem mieszkanie, odzież, i wszystko, cokolwiek do jego potrzeb wchodzi, obłożone jest podatkiem, żaden ciężar społeczeństwa nie ominie tego, którego dobrodziejstwa mijają; — wyrzucony kiedy o jego dobro chodzi, a wzywany i zmuszony do obowiązków bez wzajemności!

Ostatnim aktem okropnego drammatu życia proletarijusza, jest nad nim opieka np: dom ubogich w Anglii, gdzie do wysokiego stopnia plaga pauperyzmu doszła. Nie trzeba tu myśleć, że dom ubogich jest tam czystém podaniem bratniéj ręki biednym, wszelkich względów doznającym; ubóstwo chociaż bez winy, traktowane jest raczéj jako występek; zaraz na samym wstępie rozdzielają ojca, matkę, dzieci, nie dozwalając im się pomiędzy sobą widzieć i najświętsze rozrywając związki, a praca nie bywa zastosowana do obecnych zwyczajów cywilizacyi, która robi ją łatwą i lekką, ale przeciwnie dobrana jest najcięższa, na jaką tylko pomysł ludzki mógł się zdobyć. Widoczny przebija tam cel utrudzenia, bo siły ludzkie najkosztowniejsze bywają marnowane przez zastosowanie ich do najgrubszéj roboty, i od wieków podobnym środkiem nieodbywanéj, to jest: do młyna deptanego przez ludzi (treadmill). W naszym kraju znajdzie gdzieniegdzie takie deptaki konne lub bydlęce, wystawmyż sobie teraz deptak ludzki, na który naganiają biedaków za to, że społeczność odmawia im roboty! — za to, że pojedynczy ludzie na swoję

wyłącznie korzyść używają machin pracę ręczną zastępujących, a ci biédni najcięższym własnych sił użyciem muszą to odbywać, (za co? za karę przemysłu innych na ich stratę wymierzonego) coby najwłaściwiéj machinie przypadło. Taką to opiekę w ostatniéj doli doznaje proletarijusz wśród społeczeństwa, które go do nędzy przywiodło, a które się być mieni ludzkiem i cywilizowaném. Stosunek jego do społeczeństwa ogranicza się na obłożeniu go brzemieniem nędzy, a jeśli go dźwigać nie wydoła, na odesłanie go do deptaka ludzkiego.

W kraju naszym znajdzie się także nędza, może nawet powszechniejsza, ale nigdy taka straszna. Gdzie-indziéj zagraża silném rozprzestrzenieniem, u nas zmniejszać się stopniowo musi, dopóki zupełnie nie zniknie; ale nim to nastąpi, mocno tymczasem dolega, i tamuje wszelkie rozwinięcie narodowego bogactwa. — Bądź - co - bądź, czy prędzéj czy późniéj nastąpi pożądany wypadek jéj ustąpienia, i zawsze jeszcze na drodze ulepszeń, do których nas moc rzeczy prowadzi. W kraju naszym proletarijuszem jest wieśniak, który powszechny cierpi niedostatek. Większą bez wątpienia, stosunkowo massę biédnych, niż w innych krajach, przedstawia nasze chłopstwo — lecz to nie dochodzi jeszcze do téj nędzy, która prowadzi do rozpaczy, i z głodu każe umiérać. Tam brak roboty, wypadek oczywisty, wszystko tłómaczy — brak roboty, czyli wyraźna społeczeństwa niesprawiedliwość dla ludzi, którym pomiędzy sobą odmawia miejsca. U nas, przeciwnie, każdy robotnik jest pożądany i zawsze nim będzie, bo kilka pokoleń przeminie, a jeszcze nie podołamy wszystkim obfitym żródłom bogactwa, które u siebie mamy. U nas więc z natury rzeczy społeczeństwo nie wyrzuca z pośród siebie robotnika, nie może być jego dążnością odmówić

mu potrzeb do życia i darów, które przyroda dla użytku człowieka hojnie zlała, ale przeciwnie otwiera mu swoje objęcia, potrzebuje jego rąk silnych, musi w interesie własnym zapewnić mu byt i dostatek, aby dodać bodźca jego pracy, która jest pożądaną. Żadna więc analogija nie zachodzi pomiędzy przyczynami nędzy zagranicznéj i tutejszéj, i powiedzieć nie można, że u nas znać nie chcą robotnika, bez którego obejść się niepodobna, którego nadto być nie może.

Tam gdzie praca jest pożądana, jak u nas, robotnik musi być w dobrym stanie, a jeśli tak nie jest, to nie leży w naturze rzeczy, która do tego wypadku prowadzić musi, ale w jakichsi zewnętrznych, i że tak powiem, zaskórnych przyczynach. Praca musi być nieumiejętna, a tém samém mało skuteczna, jeśli przy wysokiém jéj żądaniu nie jest sowicie nagrodzoną. A kiedy w istotę rzeczy wejrzymy, przekonamy się, że tak jest niewątpliwie. Zwrócenie więc pracy naszego wieśniaka, całéj dzielności jaką mieć powinna, jakiéj nié ma, jest radykalném wyleczeniem pauperyzmu naszych włości, a zarazem nadaniem bogactwu krajowemu nowego a nieznanego dotąd popędu. Naturalne więc dążenie przemysłowego kształcenia, które coraz silniéj rozwija się, staje jako naturalny sprzymierzeniec biednych, których niedolę ma goić i usuwać. W obcych krajach postęp przemysłu w nędze wtrąca, u nas z nędzy wydobywa ostatnią warstwę społeczeństwa, a to jest główna różnica, którą odmienne położenie w stosunkach proletaryzmu i postępu produkcii wydatną czyni pomiędzy narodami fabrycznémi a rolniczym. Do nas więc zastosowania żadnego mieć nie mogą żale i skargi gdzieindziéj objawione, bo u nas biéda jest innéj natury; u nas pracownika oświecić w tém, co się jego powołania dotycze, jest jedno co go wzbogacić, a zadanie polepszenia jego losu łatwiejsze do rozwiązania, ale innym sposobem, stosownie do odmiennego położenia.

Dla czego praca wieśniaka u nas nie jest umiejętna? Czyli to brak oświaty? Czyli téż jakie zewnętrzne stosunki? zaiste, znajdzie się cokolwiek jednego i drugiego, ale da się razem pod jednę główną przyczynę podciągnąć. Praca umiejętną nigdy być nie może ze strony człowieka, który nié ma w tém żadnego interesu, a w tém położeniu jest nasz włościanin, który nie na siebie pracuje. Nie wińmy zatém ani jego moralności, ani jego nieudolności, obojętność jego jest zupełnie słuszna i naturalna, temu winne są jedynie położenie i stosunki pod któremi zostaje, a w których każdy człowiek okazywałby równą niedbałość o pracę, nie na jego korzyść idącą. Nie wdajemy się tutaj w specijalne badanie stanu i stosunków włościanina, które wymagają wyłącznéj pracy, a którym zadość uczyni zapewne, nowo-objawiająca się dążność nowego piśmiennictwa do trudnienia się tym ważnym przedmiotem.

Dosyć nam powiedzieć, że dopóki praca wieśniaków nie jest umiętna i skuteczna, dopóty nie mogą być w dobrym stanie — że dopóty umiejętną i skuteczną być nie może, dopóki w tém mieć nie będą żadnego interesu i bodźca w nadziei poprawienia stanowczo swojego bytu — że zatém, to, co krępuje włościanina w jego stosunkach produkcyjnych, to co odejmuje mu interes do pracy, jest przyczyną pierwotną pauperyzmu, który zniknie raz na zawsze wraz z jéj ustąpieniem, i miejsce otworzy nowemu i niesłychanemu popędowi do pracy, który na roli naszéj zakwitnie. Ten jedyny wypadek podwoi, potroi dzielność pracy włościanina, a tém samém jego mienie; nieujrzymy odtąd pracy ciężkiéj, a skąpo nagradzanéj w stosunku trudów człowieka, chociaż dostatecznie w stosunku tego, czego dokazała, bo przy niéj więcéj marnowano sił, niźli było potrzeba; nieujrzymy rolnika na chléb pracującego, dostarczającego obficie nawet obcym krajom, a samego bez chleba prawie, perijodycznie w pewnych porach ro-

ku (na przednówku); wszystko inną postać przybierze, skoro włościanin zacznie pracować prawdziwie na siebie.

W ogólności, porównywając nasz pauperyzm i obcy, widzimy obadwa pochodzące z przyczyn do klass zubożonych nienależących i bynajmniéj nie z ich winy; oskarzać o to nie możemy brak powszechny moralności, bo nędza w obu wypadkach jest naturalnym wypływem położenia i stosunków, które nie w ich mocy jest zmienić. Nie mówiliśmy wcale o nędzy, pochodzącéj ze złego postępowania, z próżniactwa i nałogów, bo ta jest słuszną karą za niespełnianie obowiązków względem towarzystwa, a jednym z najpierwszych jest: być użytecznym jego członkiem, czyli pracować. Widzimy że nędza zagraniczna jest ciężką chorobą całego organizmu spółecznego, a niedającą się z gruntu wyleczyć bez skomplikowanych wielce środków, w dociekaniu których tém samem, że skomplikowane, bardzo łatwo pobłądzić. Widzimy że u nas przeciwnie, nędza jest w brew naturze rzeczy, i że tak powiem **sztuczna**, a zatém i obmyślenie środków przeciwko niéj i wprowadzenie ich w użycie, zdają się być rzeczą prostą i nie trudną do uskutecznienia, i nieobliczone, wszechstronne zapewniającą korzyści.

# ROZPRAWA JĘZYKOWA.

## CZY MAMY T MIĘKKIE

### w POLSKÈJ MOWIE? *)

Mam sobie za obowiązek w szczególe dotyczącym ujmy polskiego języka zrobić zapytanie, na jakiéj zasadzie poczytują *titun, tiutiun* i t. d. być obcyzmem? tudzież, że w polskim języku nie mamy miękkiego „t".

Dotąd nie jest rzeczą dowiedzioną, azali Turcy lub Słowianie obznajomieni byli pierwéj z *Tiutiunem* i jego mianem, któren upowszechniony prawie w całéj Europie pod nazwiskiem *tabaka*, wskazuje, że i do nas pierwiastkowo zawitał nie z Azii lecz z Ameryki, z prowincyi Tabaka t. j. z wyspy Ś. Dominika r. p. 1490. — 1560. Enc. Lipsk roku 1820. IX. str. 728.

Równie nie wiemy, azali Słowianie polskie *tiutum, titun* raguskie *tutum*, ruskie *tiutiun* wzięli z tureckiego, lub ażali tureckie *tütün* jest Słowianizmem. Lind. Słown. V. s. 704.

---

*) Patrz str. 1053 Przeg. Nauk. z roku 1842.

W Polsce, wbrew twierdzeniu Przeglądu Naukowego, nietilko w różnéj, lecz i w jednéj i téj saméj prowincyi, w jedném i tém samém mieście, a częstokroć w jedném i tém samém pomieszkaniu, wymawiają już, *tytuń*, *tytiun*, *tiutiun* (bakun).

Przeto może właściwiéj byłoby z urozmaiconéj nazwy słowiańskiéj *tiutiunu* wywodzić pojedynczą turecką, niż przeciwnie. Nie wszystkie też Turkom i Słowianom wspólne wyrazy nazywać wypada turczyzmami, gdyż już w średnich wiekach nietilko południowo-wschodnia Europa, lecz i znaczna część zachodnio-południowéj Azii osiedzibiona była od Słowian; a celniéjszych rodzin synowie z nadwiślańskiéj Lechii już w średnich wiekach przybywali do Carogrodu, i tam najwyższe urzędy sprawowali. Nawet po dostaniu się Carogrodu w ręce Turków, słowiański język był długo nadwornym u Porty Ottomańskiéj. Janczarowie byli po większéj części z krwi słowiańskiéj. *Porfirogenit* p. 81. *Surowiecki* o Słowianach s. 54, 61. *Ducas.* p. 30, 77.

W Turcyi nie znamy titunorodnéj prowincyi, lub miasta zwanego *Tütün*, a mamy Tytyow, miasto w byłém Województwie Kiowskiem (Polacy Nestora) na pograniczu Województwa Bracławskiego. *Wozgen* Dikc geogr. III s. 146.

Nie wiemy azali w tureckiém *Tütün* oznacza jakową własność, lub przydomkowość *tutunu*, które w naszym języku miejsce mieć mogą (1).

---

(1) To samo rozciągaćby wypadało do tatarszczonej kulbaki przy uwadze z używania wychodzącego *kulbić*, *skulbić* (skulbił się w dwoje, chodzi skulbiony) tudzież, że kulbaka ma postać skulbioną (skuloną).

Stoi nawet zapytanie azali tureckie *Janczar*, *Janitczar* nie jest słowiańskie *Goncz*, *Gonczarz*, *Gonitczarz*, przy uwadze staro-

Podczas palenia lulki, wypuszczania dymu z ust, towarzyszy głos *pa*, *pa*, stąd może powstało *pakun* utarte na *bakun*. Przytém nasze mamki i nianki wyrazem tutu, wymawiane wargami *(dziecie chce tutu)* oznaczają napoj (pić), a wyrazem *titi*, oznaczają *zabawki* (do roboty ani rusz, podobały się jéj dziecinne *titi)*, tak więc, jak drogie zagraniczne cacka, kukurika i t. p., ochrzciliśmy wyrazami dziecinnemi *caco, kukuriku;* podobnym sposobem od dzicinnego *tutu* (pić) ochrzcono *tutun* (upajacz), a od *titi* ochrzcono *titin*, *titun* (zabawka). Tytuń bowiem upaja, a jego palenie nazywają próżniacką zabawką.

Zresztą, pominąwszy *tiutiun*, nie wiemy azali wypadałoby Przeglądowi Naukowemu stanowczo wyrokować o nieznajdowaniu się miękkiego „t“ w naszym języku. Wątpimy bowiem, by dla osób przedsiebiorących Przegląd Naukowy było tajemnicą, że dotychczasowy słownik polski jest jedynie słowniczkiem (2), tudzież, że nikt się prawdziwie sam poszczycić

---

polskiego *Gonca* (szermierż, zapaśnik, do gonitw przeznaczony), *goncza* (gonitwa, utarczka) *gonić*, *ganiać*, tudzież, że w staro-polskiéj wymowie *Gan* brzmiało *Jan* (Gan-Carski?).

Że w zachodniéj zniemczonéj Lechii, *Goniarba* wymawiała się *Ganiarba*, *Ganerba* dowodzi prawniczy wyraz, *Ganerbi* używany niegdyś na oznaczenie pogranicznych strażników, którzy przepędzali z zagranicy wpadających łotrów, tego rodzaju słowianizmy usiłowali Niemcy dzikiemi wymysłami udawać za niemczyzmy (Goldast Bul. Aur. c. 30 § 2. *Prokosz* Kron. 183. 194. *Surowiecki.* str. 172.

(2) Ja sam, od niechcenia prawie, uzbierałem kilka tysięcy wyrazów polskich nieobjętych słownikiem, w liczbie których znajdują się w części wydobyte z dzieł ogłoszonych od słownikarza za wyplewione; i mniemam, że dziesięć-nasób liczba ta powiększy

nie może, żeby swój cały umiał język. *Kopczynski* Gram Naród II s. 5.

Pomijam, że do powiatowszczyzmów staro-polskich musiało należéć miękkie „t“, kiedy je znajdujemy nad Dniestrem, Dnieprem i Oką, niemniéj w Zadunajskich krajach osiadłych wyrojeń polskiego ludu, przy uwadze byłéj obszerności polskiego języ-

---

łaby się, gdyby kto zajął się wydobywaniem wyrazów z odkrytych staro-pismów polskich, z pism niedotkniętych przez słownikarza, oraz z wszelkiego rodzaju powiatowszczyzmów i prostaczyzmów.

Częstokroć bowiem, najdawniejsze wyrazy naszego języka, rzemieślnicze, przemysłowe i t. p. od przybyszów już narodowość zacierających, pstro-głowych papug, wyparte z większych miast i domów, tułają się w zakątkach kraju pod wzgardliwém nazwiskiem, wiotkich, prostaczych, czyli partackich, parafialnych wyrazów.

Polskie powiatowszczyzmy, wbrew dąsaniu się na nie Przeglądu Naukowego, nie przestają być wyrazami polskiego języka, których wykluczanie z słownika pozbawia nas wielu źródłosłowów, a nawet dowodów większego zbliżania do Sanskr. np: przy uwadze wykrywającéj się religijnéj, oraz językowéj wspólności z Staro-indyjskim narodem (wyznania Żywena), którego trzy wyższe kasty zwane *Puni* t. j. *czyste*, łatwo dostrzec, że wyśmiewane w słowniku mazowieckie *Pun* (czystyi, do wyższyi kasty należący) jest dawniejsze od upowszechnionego *Pan*. — Mniemam nawet, że do naszych czasów, zwłaszcza na Rusi, trwający zwyczaj między mniéj okrzesanym gminem trzymania dłoni przed gębą w czasie rozmawiania z Wielmożnym Panem, jest zabytkiem z zwyczajów nieczystéj kasty Indian, która nawet swym tchem zanieczyszcza osoby z wyższéj kasty,— a nazwisko *plucha* (pluga, plugawiec), oraz *chłop*

ka nad Wisłą, Odrą, Elbą i t. d. Nestor. Wyd. Timk. 3. 7. Schlöser. II. 83. 124. *Ossoliński* II. do Kadłubka przypis. 30, 36. *Maciejowski* Pam II. s. 23, 39. *Szafarzyk* Star. I. s. 537, 542, 545. Słow. Polsk. Lind.

Ani byłbym dalekim od twierdzenia, że zmiana pisowni i wymowy zatarła z czasem w wielu wyrazach naszego języka miękkie „t" przetwarzając je w ulubione „ć" wskazać to zdaje się dowolność wymowy wyrazów: *Charciuszek, Chartiuczek* (charcik samiec) *Szlachciura, Szlachtiura* (szlachciczysko) *Kiciunia, Kicia, Kitunia, Kitia*, (Koteczka) *maluciuneczki, malutiuneczki*, (maciupci, maciuci, maciutęki, *maciutci)* — *Pośmietiuszka, pośmieciuszka* (pośmiat) — bysio, bycio, *bytio*, byciunio *bytiunio*, (byczek) — Do liczby tych należą wyrazy kończące się na ciocha, *tiocha*, cioszka, *tioszka,* wzgardliwe *ciucha, tiucha*, które z cacanemi pieszcioszkami sam-na-sam bawiącym się mamom i nianiom, tudzież (uczciwszy uszy) zagniewanemu Bartkowi na Marynę w całkowitém wysłowieniu repetować wolno.

---

*psia para* przypomina nam upodlonéj kasty Indian nazwę *plejas, paria.*

U Indian Kasta *Sudra* jest od innych podlejsza, skazana do usług albo do rzemiosł — u nas *szubrawiec* (szudrawiec?) prawie to samo znaczy, i t. p. Tak u Indian, jak u nas za czasów Rzeczypospolitéj, wykluczało ich prawo od piastowania urzędów i posiadania dziedzictwa — tam *szenar* (sznur na szyi) tu pasa nosić im nie wolno było. Ind. r. 1820. § 5. Geogra. Lezeb Prag, 1820 posz. X s. 60, *Majewski* Zbiór Rozpr. r. 1827 T. I. Cz. I. s. 36, 39, 40. Gram. Sanskr. r. 1828. *Rozpr.* o Słow. r. 1816 s. 166. *Dankowski.* Matr. Stasic filia r. 1830. *Kucharski* w Dzien. Warsz. r. 1825. T. I. N. IV. s. 515, 536, i t. p.

Oprócz powyższych, wymowa miękkiego „t" dochowuje się w ustach osób mniéj dotkniętych zmianami naszéj pisowni, naprzykład: *mantiuk*, *mantiuga* (3) kotuga (4) myśliwskie

---

(3) *Mantiuga* różni się od *mantyka*, czyli nudziarza, że może być bawnisiem, istotnie zaś jest rodzajem mamiciela, czyli omamiciela, mającego zakroj nieznacznie wyłudzenia czegoś — *omamić*, *omanić* (manić, mancić) oman? mancioszka (wyłudnica) *mantocha*.

(4) *kotiuga*, *kociuga* (sobaka, włoczęga, wałęsarz) od wyrazu *kocić kot*, (przekot, pokot) — pierwiastkowo, mniemam, oznaczało osobę należącą do koczujących — czyli kotegowych — Kotega, bowiem, po dziś dzień oznacza na wozie zbudowany przetaczalny domek, przeznaczony na nabiał i sprzęty owczarskie, któren z miejsca na miejsce za grodzą (koszara, hurt) przetaczają. Jest to rodzaj mazy, używany za czasów Hipokrata od Sarmatów europejskich, zwanych od Pomponiusza *Hamaxobii* już *Maxobii*, czyli po naszemu Mazowii (łacińskie Masovia), gdyż w moc jego świadectwa, nazwę tę wzięli od przemieszkiwania w domkowatych wozach t. j. w *mazach*, (kotygach) tak zwanych od zwyczaju oblepiania, czyli *omazywania* ich błotem. „*Sunt autem curus instar domorum fabricati ac luto obturati. Hippocrat*" de Aer. c. 10 Mela. I.

Zwyż rzeczeni *Sarmaci Mazowi* (Masovii) podbiwszy naddnieprowskich Skitów Herodota w czasach przed Chrystusem, rozlali się ku Wiśle i Dacii, jak wiemy z podań Diodora II c. 43. Mela III. 4. jescze bowiem około r. p. 400. 423. na tablicy Peutingera siedziby Amaxobiów (omazowi, omaza, *maza)* rozciągały się na północ Dacii w głąb późniejszy Polszczy (t. j. tam, gdzie dotąd nie wyszły z używania maze), a zbiegają się co do miejsca i czasów oraz ułamków dziejów w jedność narodu, z naddniestrańskiemi Antami Jornanda c. 5, 25, 48.

W Królu Antów Wooz (*poległym około r.* 384 *w przegranéj*

*tiach* (5) tiuch (6), przy zwoływaniu kur używane *tiutu*, *tiutać* (7) bortiuk (8) i t. p.

---

*bitwie z Winitarem Królem Gotów, zamieszkałych podówczas w Dacii)* upatrywać wypada Mieczysława Króla Mazowieckiego, o którym podaje Christian i Lukas Dawid, że toczył wojnę z Gotami, w któréj z początku pobił Gotów, lecz ci w końcu pokonali Mieczysława Mazowieckiego, a więc porządek biegu wojny jest ściśle ten sam, co porządek wojny Antów Jornanda z Gotami, około r. 384, jedynie że Mieczysław Christiana chodzi *(może w sposobie starowierczego współznacznika)* u Jornanda pod nazwiskiem *Wooz* czyli *Booz;* tudzież, że Jornandes użył ogółowego, zaś Christian dochował szczegółowe nazwisko dzielnicy Antów. Podaną od Christiana Lukasza Dawida wojnę Mieczysława Mazowieckiego z Gotami odnosić wypada nie do roku (w skutek zatarcia krysek, lub złego przepisywania urosłego) 523, lecz do roku około 384.

Już to, że Goti przed r. 500, wyniosłszy się do Italii, Galii, Hiszpanie nie mogli staczać wojny z Mazowianami nad Dniestrem w szóstym wieku, — już że wojny Antów z Gotami kończą się z końcem czwartego wieku — już że wojna Mieczysława Mazowieckiego z Gotami nacechowana tokiem biegu wojny Króla Antów Booz z królem Gotów Winitarem przypadała około r. p. 384; już nakoniec, że w liście Królów Polskich dochowanych od Prokosza, Mieczysław polski (Mazowiecki) umiera r. p. 388 (384), a po nim na tron polski (Mazowiecki) wstępuje Radgaszcz, w którym z pory, czynów i rodzaju śmierci mamy Radegaisa (Ritogarz zalotnik Wandy nadwiślańskich Polaków), Króla Gotow, wskazującego, że o téj porze chwilowo panowali Goti nad Mazowianami, a w skutku tego w liście Królów polskich (mazowieckich) wcisnęło się nazwisko Radegaisa Króla Gotów. Widoczna więc, że w potyczce z Gotami złapany i stracony Król Antów Booz, był Mieczysław Ma-

Odnosząc się zaś do dziecinnego wieku w miejsce odmawiania polskiemu językowi wymowy miętkiego „t" właści-

---

zowiecki — a następnie, że w Hamaxobiach tablicy Peutingorowskiéj mamy Słowian, Antów, Mazowian, mających tam pobyt od czasu ujarzmienia Skitów Herodota. *Prokosz* Kron. s. 41. *Orosios* VII. c. 37 *Jornandes*. c. 48 Voigt. Ges. Preus: I. s: 139. *Szafarzyk* Uwag. roku 142S. stron. 99. Gazeta Pols. Warsz. r. 1828 N. 354 s. 1416.

Tak więc Uwaga byłego rozłogu Mazowian nad Donem, Dnieprem, Dniestrem, jak z uwagi wyrojeń polskiego ludu osiadłych po obu stronach Dniepru ku rzece Oka i Don, zgodnie z podaniem Nestora (wydanie Timk 3. 7.) mamy prawo nie tilko do wspólnych nam z tamecznymi osadnikami wyrazów, lecz może do ich całego narzecza, zważanego za wyradzającą się powiatowszczyznę (mowla) staropolskiego języka.

(5) Udając na oko goniącego psa, powtarzamy *„au, au, tiach, tiach, aiay, aiay.*

(6) Przy śpiesznym wysuwaniu i wsuwaniu pobojca (np. w Sikawkach) powtarzamy udawany głos: *tiuch, tiuch, tiuch.*

(7) Jak zacznie tiutiać, to cały ranek minie — *długo zwoływa kury, nie śpieszy się do roboty.*

(8) Skóra z capa lub barana, mieszkiem zdjęta, wyprawna, przez ramie i *studziona* (część plecy między łopatkami) po-pod przeciwległe ramie zawieszona, na przodzie spięta, w sposobie torby noszona (w któréj owczarz różne drobiazgi, a nawet chleb, ser, orzechy i t. p. przechowywa), chodzi w różnych okolicach gór karpackich dawnéj Polszczy; u bójków wierzchowinców, słowem, górniaków pod nazwiskiemb *ordii*, *bodiuk*, u Goralów, słowem u Polaków, pod nazwiskiem *bordziok*, już *bortiuk*, a więc, różne od skóżane-

wiéj byłoby twierdzić, że wcześniéj zaczynamy wymawiać miękkie niż twarde „t“ gdyż pędraki zamiast *katulać,* pieszczotliwie wymawiają *katiulać,* — *tatio, tatiulo* (tatcio, tatulo) *tiosi* (tosi klaszcząc w dłonie) — *tiupy* (tupy, stęporki, nóżęta) — *mytia,* (mycia, kotek) botio (bocio, boczek, bok) — tiutia (kurcze, kokot) i t. d. (9). To.....

---

go naczynia *bordziuk* zwanego, w którém wino i wodę wożą (bakłak).

Jeżeli *bortiuk* nie jest utarte z *portiuk* (por, pruc, *zaportek, wyportek,* wyporek), tedy może odnosić go wypadnie do Sanskr. *baradi* (nosić na barkach, barana) barczyć obarczyć).

(9) Przypiski pod 2, 5, byłyby zrozumialsze (wielu innemi dowodami poparte), gdyby nie zwłoka *Biblioteki Warszawskiéj,* która jeszcze w Czerwcu 1841 przesłany sobie kilko-arkuszowy wyimek z Rozprawy (*Przetor do rozgmatwania plemion Sarmacii i Germanii starożytnéj*) *) dotąd ani ogłasza, ani takowego zwrócić chce wbrew warunkom, pod któremi jéj w dobréj wierze powierzonym został. Takowe postępowanie może nie jest bez uszczerbku dla tych, którzy usiłują zgłębić boszczyznę, zwyczaje, obyczaje starowierczych słowian, którzy niemając pewnéj zasady opierają na domysłach znaczenie nazwisk, narodów, rzek, gór, lasów i t. p. ubóstwianych przedmiotów, jedynie-bowiem tą drogą powiększyć się da liczba wyrazów języka Skitów, Sarmatów, Germanów z najdawniejszych czasów. (*Przyp. Aut.*) *T...cki.*

*) Pismo to wyszło teraz z druku w Poznaniu. Dochód zeń, przeznaczony na cel najszlachetniejszy. (*Przyp. Red.*)

# DOPISEK REDAKCYI.

Umieszczając tę rozprawkę, uczonego Doktora, sądzimy, iż choć przedmiot sam przez się jest suchy, i niewielu czytelników zająć może, wyjąwszy chyba badaczów języka polskiego, — jednak w rzeczy tak ważnéj, jaką jest *mowa własna, krajowa, nasza*, wszelkie nawet domniemania, a témbardziéj rozumowania, umieszczać się godzi. *Sk.*

# ODEZWA LITERACKA.

Natura ludzka w całéj swéj najobszerniejszéj dzielności odbija się w znacznéj części, jako w obrazie swoim, jako w zwierciadle, w mowie, któréj człowiek używa w każdym z języków, jakiekolwiek są na posadzie ziemi, na widowni tego świata.

Mowa człowieka w *zbiorowém* znaczeniu wziętego, ma swój odcisk w myślach, w uczuciach ludzkich. Ona użycza swéj szaty wszystkim naukom, umiejętnościom. Bez niéj niemą byłaby cała natura. Sam rozum, ten tak dzielny władzca wiedzy ludzkiéj, nie byłby zachowawczą jéj, bez mowy.

Ta mowa rodzi się wśród społeczności, na jéj łonie, wychowywa się, rozrasta, doskonali się.

Dla wyższych umysłów ciekawą jest rzeczą, jak daleko jéj odcienie w jednym języku każdego narodu, a najbardziéj *własnego*, w potoczném jéj, codzienném używaniu zwyczaju odróżniają się między sobą.

Stąd wypływa przedmiot godny uwagi, jak ten sam język w ustach naprzód *Ludu*, potém różnych ludzi innemu podlegających położeniu, zatrudnieniom, zabawom, i tam daléj przybiera inne barwy, inny koloryt, rysowość swą i oblicze cechujące go o tyle odmienną różnicą, o ile odmienność mu nadać może nie jedna oddzielna przyczyna myśli, uczuć i wyobrażeń, o ile nań wpływają znamiona szczególne, mianowane *prowincyalizmami*, frazesami i tym podobnémi, oddzielne różnicowanie się jego znaczącemi nazwami.

Ta uwaga nad językiem, i ile on do ustnéj mowy potocznéj wchodzi, zadaje umysłowi pytanie: czyliby się w tym celu nie udało odkryć co użytecznego, gdyby przyszło starowne, troskliwe zbieranie z różnych stron, jedno-językowego narodu wyrazów przezeń używanych rozmaicie, wedle rozmaitych wpływów, wywartych z różnych przyczyn na używanie tego języka?

Drogi zaiste! jest filologom, grammatykom, a nieraz i historykom zabytek i zadatek skarbów ukrytych w mowie ustnéj, z każdego języka wziętego pod tym względem na uwagę. — A cóż dopiero mówić o języku własnym, narodowym, polskim, który tyle ma odcieni prowincionalizmowych?

To spowodowało nas do utworzenia zamiaru zbierania

wyrazów z mowy potocznéj, naprzód Ludu a potém wszystkich ziomków z różnych miejsc, właściwością jakąś oznaczających się, językiem polskim mówiących.

Nié ma potrzeby dowodzić, jakby się ukazał piękny widok na naturę, charakter i historyją języka, gdyby badacze mowy ludzkiéj, w ogólności krajowéj, rodowitéj, przyszli w pomoc redakcyi, chcącéj się zająć tym przedmiotem. W tym celu upraszamy czytającą Powszechność polską', miłującą postęp i krajowość, o nadsyłanie użytecznych w téj mierze uwag, i o dostarczanie zbiorów ku temu celowi służących, dla złożenia z czasem słownika będącego jedną całością różnego oblicza językowego, co jest przedsięwziętą myślą redakcyi.

Rzecz ta nie małéj jest wagi, i tém rychléj wykonaną być winna, że żaden z dotychczasowych słownikarzy tak wielkiego, lecz téż i bogatego nie tknął przedmiotu. Potrzeba tu spólnego działania, zbierania szczegółów rozrzuconych tu i owdzie — jedném słowém: szczérego Ziomków spółczucia.

Uczony Doktor Tomicki, nie małą w tym względzie położył zasługę. Nie dość bowiem, że znaczną już prowincijonalizmów ilość własną zebrał pracą i staraniem, ale nadto *pieniężnie*, w znacznéj części do wydania takiego słownika, przyczynić się (jak nam to *osobiście* wyraził), przyrzeka. Oby nam jak najwięcéj nieba dały takich zwolenników literatury krajowéj i dobra ogólnego!

Mają także część takich zasobów Prof. Leopold Walicki i Prof. F. Jezierski; część ma Redakcija i Redaktorowie Przeglądu Naukowego.

Nadto, Marcin Ciepliński, zebrał 16,000 (szesnaście tysięcy) przysłów polskich, oprócz tych, jakie przytacza Rysiński, Troc, Maxym. Fredro i t. p. Spis więc abecadłowy tego niepospolitego skarbu Filozofii Ludu, języka i t. d. dla wia-

domości ogółu i dopełnienia znawców i zbiéraczy, ten gorliwy badacz przeszłości naszéj, do słownika prowincionalizmów dołączyć przyobiecał.

Takie zasoby, takie prace, takie chęci, aby się w jednę zlały całość i jak najrychléj urzeczywistniły, potrzeba:

1. Aby wszyscy Miłośnicy Literatury krajowéj nadsyłali ze wszech stron, właściwe swym okolicom prowincijonalizmy, czyli sposoby mówienia.

2. Aby zbierano składki w rodzaju *akcij*, na wydrukowanie *p o m n i k a* Mowy Polskiéj. Redaktorowie tu podpisani i Doktor Tomicki, zaczynają od siebie.

Adres: Do Redakcyi *Przeglądu Naukowego* w Warszawie.

Hip. Skimborowicz.

Edward Dembowski.

# Kronika Piśmiennicza

# POLSKA.

176. *Niezabudka, Noworocznik wydany przez Jana Barszczewskiego.* Rok czwarty. W Petersburgu. W drukarni Karola Kraja. 1843. W szestnastce, stron. 284, i sześć rycin Rudolfa Żukowskiego.

Jużeśmy wyrazili bezstronne zdanie nasze jeszcze w roku zeszłym (str. 1080 Tom III), jak mamy uważać podobne prace w Petersburgu wychodzące. Dziś zatém, gdy o trzech tam wydanych książkach, mówić nam przychodzi, sądzimy za rzecz zbyteczną powtarzać, z *jakiego punktu twory te cenić trzeba?* Zdamy więc krótką tylko sprawę, co rzeczony *pamięci kwiatek* mieści w sobie.

Znajdzie tu czytelnik oprócz artykułów samego wydawcy (których jest najwięcéj) trzynastu młodych autorów poezije, wiérsze, i t. p. Łatwość i gładkość cechują je. Treść jednych poważna, drugich lekka, jako w *Portrecie* i w *Magdzie.* Są tu fantazije, sonnety, ballady i t. p. W ogóle zaletą pisma, że nie wiele ma błąkających się myśli po urojeniach próżnych, lotem chwilowym schwytanych, a wyobraźnią rozprowadzonych przez obrazy, obrazki, farbki i t. d. Powiastka p. t. *Tru-*

*pia główka* zaleca się uwagami nad człowiekiem, nad *samopoznawczém przekonaniem serca.* Obszerniéj o tém powiemy wzmiankując o powieści *Frenofagiusz i Frenolesty.* Inne artykuły tychże samych niemal autorów, co i w roku zeszłym, jak na noworocznik, są nie złe. Na ich czele godzi się umieścić wyjątek z pięknéj powieści Wincentego Dawida p. t. *Oleszko*, oraz czuły jego wiérszyk do A. A. — *Żal dziewczyny, Zorza północna, Natura,* także do lepszych należą poezyj: reszta zaś nie wiele się wznosi nad mierność. Prozy mało. Całość jednak przyjemnie się czyta, témbardziéj, gdy się zwróci pamięć na miejsce, gdzie książka wyszła. Usterki przeciwko językowi: *dla jego, mileńki, na niezabud* i t. d. łatwo mogą być poprawione.

177. *Rocznik literacki, składający się z pism wiérszém i prozą celniejszych spółczesnych pisarzy naszych*, ozdobiony drzeworytami w Paryżu, litografijami i muzyką. Wydał Romuald Podbereski. Petersburg, w Drukarni Karola Kraja. 1843. W ósemce wielkiéj, str. 214. Wydanie bardzo piękne.

Otóż i drugi *rocznik* czyli pismo zbiorowe, wydawane przez młodzież polską. Mówimy przez *młodzież,* — bo chociaż tu są artykuły pisarzy niechcących należéć do młodzieży, jak Michała Grabowskiego, Księdza Hołowińskiego, (teraźniejszego rektora akademii w Petersburgu duchownéj) i t. p jednak sam wydawca, należący do *młodzi* akademickiéj,— „nie wahał się postawić obok imion znanych, imiona piérwszy-kroć występujących, aby mniéj-więcéj stosownem połączeniem jedne artykuły, okupiły się wartością drugich i książka nie zstąpiła z wyższego stanowiska, jakie Wydawca jéj zająć przeznaczył."

Przytoczywszy ze wstępu bez żadnéj zmiany słowa R. Podbereskiego w krótkiém sprawozdaniu kronikarskiém, powiémy, iż jak w *Niezabudce* powiękzéj części są prace

wydawcy, tak tu przeciwnie ani jednego nie znajdujemy artykuliku, znanego skąd-inąd z pisemek swoich R. Podbereskiego. I tu jednak czytamy Jana Barszczewskiego, wydawcy Niezabudki, *Szkic północnéj Białorusi* zajmująco skréślony; Tomasza Zana, (popsuty nieco w druku) wiérszyk pod napisem: *Kolenda*; — Ign. Józefa Kraszewskiego powieść prozą p. n. *Krzyż na rozstajnych drogach*, także wyjątek z *Mindowsa*; — M. Grabowskiego o tłumaczeniu Szekspira; drukowaną lat temu kilka w *Tygodniku Petersburskim* przez Różę Podbereską przyrodo-baśń, nazwaną od autorki *Romansem pod leszczyną*, do któréj załączona jest rycina wystawująca jak:

Tańcowała ryba z rakiem,
A pietruszka z pasternakiem;
A cébula dziwowała,
Jak pietruszka tańcowała.

Nadewszystko zaś *pięć* artykułów Pani Eleonory Sztyrmer, z których, ponieważ *Frenofagiusz i Frenolesty*, osobno prócz tego odtłoczony, przeto osobno téż o nim powiémy jak równie i o innych, zaliczając tu i artykuły do *Niezabudki* przez nią udzielone, z których jeden *(Bartłomiéj w chmurach)* jest i w Roczniku, a to zapewne dla ryciny doń przyłączonéj.

Oprócz Reutta Wincentego, i innych piszących także do *Niezabudki*, znajdujemy tu imiona Dawszkiewicza Ant., Gieczewicza Konst., Maruszewskiego Feliksa, Ks. Piotrowskiego Kaj., Podbereskiego Lud., Strzelnickiego Wład. i Zabłockiego - Łada Tad. Pięknym jest zamiar Wydawcy, który — „starając się otworzyć obszerniejsze pole dla artyzmu domowego (ma to znaczyć *dla artystów polskich)* zamierza *przedstawić* w większéj rozmaitości próbki talentów malarskich i muzykalnych.“ W obecnym roku mamy następne litografije: Rodzina pod krzyżem rysunek Józefa Kraszewskiego, do jegoż własnéj

powieści, Szlachcic z kobiétą siedzi na stopniach krzyża, a dwoje dzieci klęczą przy nich. Sam rysunek jest dobry; lecz kompozycija, ceniąc to ze stanowiska artystycznego, znamionuje poetę nie malarza. Wszystkie bowiem osoby tak są w jednę obrócone stronę, iż ręce dwóch osób starszych, całe postawy dzieci i t. d., — wszystko jest *równoodlegle* od siebie, jakby pod sznurem matematycznym, postawione. P o e t a n a d b r z e g a m i N e w y u p r z y s t a n i S f i n x ó w, rys. p. Żukowskiego, nié ma tego wzniosłego wyrazu oblicza, jaki byśmy w *poecie* znaleść pragnęli. Najlepszym jest *Bartłomiéj w chmurach* rysowany przez Alberta Żametta. Na czele dziełka widzimy fantastyczny wizerunek Eleonory Sztyrmer z illustraciją (w około portretu) jéj powieści, rys. i litogr. Rudolfa Żukowskiego. Abramowicz Antoni napisał muzykę do pieśni ludu biało-ruskiego, a Wiktor Każyński do słów Autorki Pantofla (Sztyrmer), które ta znamienita polska pisarka poświęciła wydawcy, Podbereskiemu.

178. *Jaskułka* (Jaskółka), *Pamiętnik wydany przez Rom. Zmorskiego i J. B. Dziekońskiego.* W Warszawie, w drukarni pod firmą M. Chmielewskiego. 1843. w dwunastce. str. 174.

Miło nam jest od prac i przedsiewzięć piśmienniczych młodzieży polskiéj z nad brzegów Newy, przejśdź do trudów i usiłowań młodzi naszéj nad brzegami Wisły ukochanéj. Gdy swoje pisma *zbiorowe* ma każda niemal okolica nasza, gdy w Krakowie wydają (z przedruków) *Rozrywki umysłowe*, w Halickiém, już to *Dniestrzanki, Słowianiny* *), gdy Wilno ma *Znicze, Biruty, Bojana, Radegasta, Rimembranza;* Białaruś *Rubona*, Żmudź *Linksmine*, Poznań *Rok, Świętojankę,* Petersburg *Niezabudkę* i *Rocznik literacki;* gdy nareszcie Warszawa ma

*) Z których Dniestrzanka i Sławianin trzymowy nie wielkiéj są wartości.

Noworocznik kobiécy, *Pierwiosnek*, półmęzkie *Niezapominajki*, półśrodkowy *Pamiętnik sceny* i Alleluję; — jakże nam jest zaszczytnie, z jakąż radością powitać przychodzi p i é r w s z e dobre pismo zbiorowe warszawskie, czyli raczéj piérwszy lepszy rocznik. Tak już osławione są *Noworoczniki*, iż wydawcy ich, zwykle, jakby sobie mieli-to za powinność, bardziéj silą się na zewnętrzne ozdoby (ładny druk, piękny papiér, piękniejsze obrazki i co-najpiękniejszą oprawę, z ł o c o n ą) niźli na wartość zewnętrzną. Przeciwnie zupełnie dzieje się z *Jaskółką*. Młodzi pisarze nie zasłaniają się tutaj jakby tarczą (rozumié się klejoną z zapisanego papiéru) imionami *znanych, sławnych, znakomitych* (przynajmniéj tak nazywanych) pisarzy; — nie przywdziewają złotolitych obsłonek; — nie pragną sukienki welinowéj, ani czcionek berlińskich, ani winietek paryskich: Na zwyczajnym papierze, niezwykły talent równie dobrze odbić się może; w prostém książki wydaniu, proste, lecz silne lub wzniosłe i piękne dusze zajaśniéć są zdolne; umysł wyższy, zarówno nieukom albo niepostępowym ludziom, ciska w oczy czcionkami w potęgę słowa i myśli zebranémi, ciska w zimne piersi, w zimniejsze serca równie dobrze, równie dzielnie z bibuły, jak z welinu i atłasu. Ale opuszczając nadęte dytyramby, — o prostych i szczerych rzeczach, po prostu i szczérze się wyrażając, raz jeszcze powtarzamy: iż najmiléj nam jest i jak najchlubniéj dla Warszawy, dla piśmiennictwa polskiego, powitać *Jaskółkę*, bratérskiém sercem, zachętą na przyszłość. Czytamy tu imiona saméj tylko młodzieży naszéj: — Czajkowskiego Antoniego, Dembowskiego Edwarda, Dziekońskiego Józefa Bohdana, Filleborna Seweryna, Lenartowicza Teofila, Niewiarowskiego Aleksandra, ś. p. zawcześnie zgasłego Sierpińskiego Sew., Wolskiego Włodzimiérza i Zmorskiego Romana. Nie chcąc poświęcać szpon krytyki na powolne, drobiazgowe rozszarpywanie oddzielnych, szczegółowych artykułów, wolemy czytającéj powszechności polskiéj dać parę wyjątków, szczególniéj z poezyi, w którą,

jakby na wstyd względem innych okolic Polski, tak ubogą jest Warszawa, — aby sami czytelnicy, prawdziwość słów naszych osądzili i poświadczyli. Piękną jest ale za obszérną do przytoczenia w szczupłych pisma naszego granicach, poezija Zmorskiego pod nazwą *Wieszcz;* przeto ograniczamy się na przedrukowaniu jegoż *Anioła-Niszczyciela* i Antoniego Czajkowskiego (znanego z wydania osobno Poezyj swoich) *Pająka:*

## Pająk.

Pająk się Matce-boskiéj sprzeciwia:
Bo chociaż ona przędzie tak cienko,
On cieniéj snuje swoje krosienko,
I w srebrne barwy jaśniéj oszkliwia —
Więc nie grzech zabić pająka.

* *
*

Lecz pająk wieszczek, po srebrnéj sieci
Z rana nieszczęścia zwiastować leci;
A gdy wieczorne godziny wieją,
Wróżbita złotą cieszy nadzieją —
Więc szkoda zabić pająka.

* *
*

A pająk muzyk, na gruzach gości,
I starym grodom z bratem słowikiem,
Promieniejącéj barwy językiem
Kwili gdzieś w kątku dumki przeszłości —
Więc żal zabijać pająka.

*
* *

A pająk prorok, w złocistéj sali,
Na brudnéj przędzy pierś swą kołysze,

I szarym kłąbkiem po ścianie pisze
Baltazarowe: „Bóg cię obali“ —
Więc strach zabijać pająka.

*
* *

A pająk kapłan, kraty osłania,
Więźniów pociesza, urny zaprzędzie,
I z trupich główek tęczą dobędzie
Po hymnach śmierci, hymn zmartwychwstania, —
Więc grzech zabijać pająka.

*
* *

A pająk mędrzec, gdy mu sieć zmiotą,
W nadziejach piersi swéj nie rozleni,
Ale ze starych serca promieni,
Wnet rzeczywistość uplecie złotą —
Jak nie iść w ślady pająka?...

## Anioł-Niszczyciel.

Moje tchnienie nie woń,
Nie gwiazdy mi skroń
Jaśniejącém obwiodły kołem.
Mój oddech, siarczysty —
Mój wieniec, ognisty —
A przecież jam jest Aniołem.

Nie Anioł co leci,
W pieluchach mdłe dzieci
Rajskiemi snami koleba;
Sieje miłość, zgodę,
Wiąże serca młode,
I duszę unosi do nieba. —

Jam Anioł-niszczyciel,
Jam Anioł-czyściciel,
Jam złego mściciel i wróg!..
— Mnie, gdy czas nadchodzi,
Nim świat się odrodzi,
Na ziemię śle Bóg.

Miecz niosę w prawicy,
Pochodnię w lewicy,
W gromach oblatam świat.
Na imię mi: b i a d a!
Śmierć, zgroza, zagłada
Biegą mi ślad w ślad.

Ja tchnę w piérsi ludzi —
W pjérsiach żar się zbudzi,
A ręce im całe krwią ściekną:
I będą się żarli,
I będą się darli,
Jak wilcy, gdy z głodu się wściekną.

Ja kędy przelecę,
Skier rzęśny deszcz miecę,
Skry to niczem niezgaszone!
Aż wszystko wypalą,
I to tylko ocalą
Co takie niebieskie jak one.

Pychy dzieci wszeteczne!
W głupstwie swojém bezpieczne,
Oto przyszedł wasz czas. —
Wasze własne, na głowę
Zamki wam marmurowe
Runą, i pogrzebią was.

I władczyni wnet nowa,
Okropności królowa,

Gruz ze stolic waszych zasiędzie.
Z pośród ciszy, grobowa
Szydersko z ruin sowa
Z potęgi się waszéj śmiać będzie. —

Hej! ludzie! ja lecę,
Ogień wszędy miecę; —
Bo-by się przyjął siéw nowy,
By wyczyścić pole,
By zniszczyć kąkole:
Wyplenić kłos trzeba niezdrowy.
Nie drżyjcie, nie klnijcie,
Głów waszych nie rwijcie,
Że spłoną wam pola i włości.
Za krótki strach, głód,
Wy i cały wasz ród
Lichwę odbierzecie w przyszłości; —

Hej! burze wy, — gromy!
Grady! wichrze łakomy!
Daléj za mną w ślad! —
Hej ognie i wody!
Mory, wojny, niezgody!...
Za mną na świat!
Ja Anioł-niszczyciel!
Ja Anioł-burzyciel
Anioł-zbawiciel!...

179. *Brewiarz świecki Bruno Kicińskiego podług Leopolda Szefera. Kwartał piérwszy.* Miesiąc Styczeń. Luty. Marzec. 1843. W drukarni Banku Polskiego str. 150, w pokroju ćwiartkowym.

Ponieważ oprócz tu przytoczonéj książeczki, jeszcze trzy tomiki wyjdą dla uzupełnienia całości dziełka, przeto tymcza-

sowie, przytaczamy, z *niedrukowanego* jeszcze *kwartału drugiego*, udzielone nam od Autora 2 wyjątki, z 21 i 29 Czerwca.

### 21 **Czerwca.**

O! niepodobna żyć nam tylko ciałem,
Nieraz spojrzeniem sięgaliśmy śmiałem
Zasad, że pola za góry, za siebie
Sięgamy nawet za gwiazdy na niebie.
Silny zmysłami, dwoma, wzrokiem, słuchem,
Człowiek tu może nazywać się duchem,
Poznaje światów niższość i byt dzielny
I już tu żyje człek jak nieśmiertelny.
Lecz żyje lepiéj choć w ciała ukryciu
Żyjąc nie w ciele, lecz w duchowém życiu.
Wtém życiu człowiek świetléj i swobodniéj
Żyje ogrzewniéj i święciéj i godniéj,
Lecz, jak się światła bytności docieka,
Gdy światło farby przedmioty powleka,
Tak światło ducha wtedy nas dochodzi,
Gdy z sobą miłość ludzkości przywodzi:
Swiatłością ducha jest miłość dla świata,
O jakże świetna, jakże jest bogata!

### 22 **Czerwca.**

Swiat odpowiada ludziom i to coraz głośnéj,
Coraz częściéj, wyraźniéj, otworniéj, donośniéj,
Zasięgnijmy wspomnieniem przeszłości dalekiéj,
Jak to odpowiadały upłynione wieki.
Ktokolwiek dziejów badał, taki nie zaprzeczy,
Że olbrzymie postępy robi duch człowieczy,
Niepytając o dawne ziemi tajemnice.
Sześćdziesiąt tylko wieków liczmy od téj chwili,
Jak z raju pierwsi rodu ludzkiego rodzice
Wygnani, na tym świecie byt swój objawili.

Jak długo duch człowieka spoczywał uśpiony,
I nie uchylał myśli kryjącéj zasłony.
Wszak dwadzieścia pięć piérwszych wieków przeminęło,
Nie doszło nas duchowe żadne wielkie dzieło.
Aż w dwadzieścia pięć wieków piérwsze skreślił zgłoski
Duch człowieka, i pismem okazał ród boski,
Pismo zostało piérwszym myśli ludzkiéj cudem,
Złączyło człeka z człekiem, a późniéj lud z ludem.
Od owych dzikich wieków doczegośmy przyszli,
Choć człowiek z piérwszych wieków wstąpiłby na ziemię,
Brałby za istność wyższą żyjące dziś plemię;
Choćby mowę zrozumiał, nie pojąłby myśli,
Dziś człek już swą duchową podstawę założył,
Narzędziami wzrok słaby daleko pomnożył,
Niż wprzód o milę, jaśniéj dziś ô tysiąc sięga;
Z wiekami czyż nie może wznieść się ta potęga,
Kiedy, (miejmy nadzieje) śmiało wieszczyć mogę,
Dosięgą teleskopem po za mleczną drogę. —
Człowiek wprzód chcąc myśl swoję pchnąć w dalekie kraje
Rączemu Gołąbkowi pismo swe podaje;
Dziśby trzech dni nie trzeba aby w krańce świata
Wieść posłać telegrafem, prawie jak duch lata.
Przyjdzie czas, że to nowe rozmowy narzędzie
Potęgą galwaniczną prędzéj bieżyć będzie.
Człowiek sięgł i wgłąb ziemi dążnością chwalebną,
Saméj ziemi lać kazał wodę mu potrzebną,
A gdy jeszcze za ziemskiéj przebiciem skorupy
Uzyska człowiek w ziemi utajone kupy,
Gdy wozem napowietrznym przeć powietrze zdoła,
Do jakichże to myśli Duch go nie powoła.